

Dwa „Wesela”: spektakl Piotra Cieplaka

„Stoją syscy jak pośnięci...”

ANNA R. BURZYŃSKA

■ To dziwne przedstawienie: każda z jego dwóch części potraktowana oddzielnie może wydawać się niezbyt udana, ale burzliwy dialog, który się między nimi toczy, buduje jeden z najważniejszych spektakli mijającego sezonu.

„Ocknęli się ze snu i patrzą: ciemno”. Piotr Cieplak otwiera spektakl czytaniem fragmentu prologu „Akropolis”. Jakby noc, podczas której w bronowickiej chacie trwała szaleńcza zabawa, zakłócona nagle przez pojawienie się widm, oraz Noc Zmartwychwstania, gdy ożywają posągi w Katedrze Wawelskiej, były jednym i tym samym momentem. Kształt przedstawienia wydaje się sporo zawdzięczać także „Wyzwoleniu” (choć na scenie nie pada ani jedno słowo z tego dramatu). Publicystyczne, dosadne, bardzo aktualne „widowisko Polska współczesna”, jakie Cieplak każe inscenizować (i improwizować) swoim aktorom, choć budzi najwięcej emocji widzów i krytyków, nie jest bynajmniej najważniejszą warstwą „Albośmy to jacy, tacy...”.

Pierwsza, chaotyczna, niedramatyczna część spektaklu dzieje się na wewnętrznym dziedzińcu Teatru Powszechnego, pod gołym niebem, z widokiem na teatralną maszynię i stare dekoracje; druga część, wierna autorowi (a raczej tradycji) inscenizacja III aktu „Wesela”, rozgrywa się już wewnątrz, w teatralnej chacie: drewnianym sześcianie z przezroczystą „czwartą ścianą”. W pierwszej połowie przedstawienia aktorzy wygłaszają kwestie do mikrofonu, wychodzą z zaplecza i widowni, przyglądają się z okien teatru kolegom; w drugiej – spod historycznych kostiumów, chust i peruk wyzieraają nowoczesne części garderoby i współczesne fryzury. Warszawskie przedstawienie to bardzo osobista (co nie znaczy, że prywatna: raczej w pełni tego słowa znaczeniu społeczna), szczerza wypowiedź reżysera i aktorów – i to przede wszystkim przesądza o jego wartości, usprawiedliwia uproszczenia i naiwność niektórych rozwiązań.

W pierwszej części reżyser doprowadza do ostateczności swoją metodę inscenizacyjną polegają-



cą na kolażowym łączeniu rozmaitych elementów: fragmentów dramatycznych i recytacji, pantomimy i tańców. W sytuację współczesnej zabawy weselnej (aktorzy w dzisiejszych strojach, ale posługujący się tekstem Wyspiańskiego) przy granej na żywo muzyce (nowoczesne instrumentarium, lecz muzyka stylizowana na ludową) wdzierają się więc postaci świetnie znane z poetyckiego, nieco surrealistycznego teatru Cieplaka: prorocy wygłaszający fragmenty Księgi Koheleta i utworów poetyckich, milczący korowód symbolicznych bohaterów wędrujących przez scenę: para bezdomnych i biznesmen, subtelna panienka i prostytutka, dama z balonikiem przywiązany do szyi i Matka Boska z niemowlęciem. Moralitet XXI wieku...

Typowe dla Cieplaka rytmiczność i rozedrganie w „Albośmy to jacy, tacy...” zmieniają się w rozgorączkowanie, chaos, bałagan. Aktorzy biegają, krzyczą, walczą o uwagę publiczności. Coraz śmielej dochodzą do głosu aktualne tematy polityczne. Pijany warchoł Branicki pojawia się w todze i bire-

cie doktora honoris causa, obsypywany przez rozochoczone orszak „moskiewskim złotem”; na estradę wdzierają się kolejni mówcy, dający popis nienawiści i głupoty; grupa mężczyzn walczy na przekleństwa i epitety, od tych najbardziej wulgarnych, poprzez „wykształciuchów” i „moherów”, aż do „argumentów ostatecznych”: „Żydów” i „pedałów”.

W walce z ohydą i absurdami dzisiejszego życia społecznego spektakl przybiera formę zbliżoną do happeningu lub teatru protestu sprzed dekad (prowokacje, próby aktywizowania widowni), kabaretowych programów Piwnicy pod Baranami (wyrecytowany tekst Adama Michnika o potrzebie otwarcia teczek, wyśpiewana jak litania lista gatunków zagrożonych wyginięciem w Dolinie Rospudy). Przedstawienie Cieplaka wydaje się najlepsze wtedy, gdy jest beczelne i impertynenckie; momenty liryczne (głównie ze względu na dobór niemiłosiernie ogranych tekstów, takich jak „Przesłanie Pana Cogito” Herberta czy „Po wygnaniu” Miłosza) przypominają mogą nieco akademii szkolną. Choć i tu, oczywiście, zdarzają się



chlubne wyjątki: słowa Eklezjasty recytowane przez Mariusza Benoit czy poezja Marcina Świetlickiego w interpretacji Sławomira Packa brzmią wstrząsająco; pięknie i strasznie zarazem.

Wielość głosów zakłócających się i przekrzykujących, wulgarnych i natchnionych, tworzy karkołomny obraz współczesnej Polski. Aktorzy sugestywnie oddają wielość i skrajność postaw, zamiast budować postaci, szkicują wyraziście, kilkom kreskami charakterystyczne typy ludzkie. Zespół aktorski jest niezwykle zgrany, co świetnie służy trafnemu oddaniu fenomenu krańcowo zróżnicowanego, a jednak połączonego wspólnymi ideami społeczeństwa polskiego, ale jest też komentarzem do niedawnej awantury wokół Teatru Powszechnego, gdy wyolbrzymiony został konflikt pomiędzy młodymi a starymi. Przedstawienie Cieplaka zdaje się przeczyć temu, by w zespole istniały jakieś podziały. Największym zaskoczeniem aktorskim jest bez wątpienia rewelacyjny Kazimierz Kaczor, zadziwiający ekspresją, szyb-

kością transformacji i radykalnością kreowanych wizerunków-karykatur; momenty, w których na oczach widzów przeobraża się w ortodoksyjnego Żyda – postać z umarłego świata – należą do najbardziej poruszających.

Ten elegijny nastrój dominuje nad drugą częścią spektaklu, opartą na ostatnim akcie „Wesela”. To właściwie najbardziej schematyczna inscenizacja sztuki Wyspiańskiego, jaką można sobie wyobrazić: z cepeliowskimi strojami i meblami, pawimi piórami, mazurzeniem. Ale zagrana przez aktorów, którzy przez poprzednią godzinę zmagali się z happeningową formą przedstawienia, bezpardonowo wyrażali swoje zdanie na temat rządu i współobywateli, dając się porwać rozpętanym negatywnym emocjom, klócili się i obrażali, a teraz zmęczeni siedzą na deskach i cicho, jakby półprywatnie mówią tekst – ma wielką siłę. W pierwszej części krzyk, bełkot, przekleństwa, okaleczony język, niemożność i niechęć porozumienia się; w drugiej – poetycki tekst „Wesela” mówiony z głębokim namysłem i troską o to, by znane widzom na pamięć zdania odkryły swój najgłębszy sens, wsłuchiwanie się w słowa drugiej osoby, życzliwość, cierpliwość, otwartość. I prosty, a jednak przejmujący finał, w którym powoli wygasają światła, bronowicka chata odjeżdża w kulisy, aktorzy zastygają bez ruchu, a z głośników słyszymy informacje o losach ludzi, którzy posłużyli Wyspiańskiemu za prototypy postaci.

Losy niezwykle i bardzo różne, niezwykle silnie związane z XX-wieczną historią Polski. Mali, śmieszni, kłótlivi, próżni, niemądry ludzie uchwyceni w momencie weselnej zabawy, w późniejszym życiu wyrastali daleko poza czarną legendę „Wesela”: zakładali szkoły i współorganizowali partie, poświęcali się dla bliskich i ginęli na wojnie. Teraz przybyli, niczym widma zaproszone przez Rachełę, na teatralne zaduszki. W zakończeniu słychać jeszcze pieśń „Christus vincit” – tak jak „Akropolis” finał spektaklu Cieplaka przynosi nadzieję na przebudzenie.

„ALBOŚMY TO JACY, TACY...” według STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO, reżyseria: PIOTR CIEPLAK, scenografia: Andrzej Witkowski, ruch sceniczny: Leszek Bzdyl, muzyka: Czerwie oraz Karolina Wojacek, premiera w Teatrze Powszechnym w Warszawie 26 maja 2007.